

# DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:  
Aleksander Zwierzyński

## Dodatek kulturalno-literacki

### Dramat Batoroego<sup>\*)</sup>

Zborowskiego mam kazać ściąć, czy nie?" — pyta siebie i innych król Stefan, niby drugi Hamlet. Myliłby się jednak ten, kto chciałby w dramacie Brończyka upatrywać wyłącznie dramat jednostki.

Sam fakt ścięcia Samuela Zborowskiego na rozkaz Batoroego w zasadzie nie zawiera w sobie nic dramatycznego, gdyż mieści się znakomicie w obrębie pojęć prawnych, ustalających stosunek między królem i jego poddanym. Zborowski dopuścił się obrazy prawa, którego najwyższym strażnikiem był król, i dlatego został stracony.

O co innego zatem pyta Batoroego siebie i innych. O to mianowicie, czy ma prawo ściąć Zborowskiego, a to każe doszukiwać się konfliktu dramatycznego poza jednostką i poza prawem w potocznym tego słowa znaczeniu, ustalającym stosunek między jednostkami.

Wtedy zaś dramat indywidualny u-rasta do dramatu zbiorowości, a problemy w nim poruszane nabierają waloru kosmiczności.

„Król Stefan“ Kazimierza Brończyka jest dramatem narodu. Świadczą o tem przedewszystkiem postaci dramatu, stworzone na miarę symbolu oraz

\*) Kazimierz Brończyk: *Król Stefan, dramat w 5 aktach, Lwów 1933.*

dialektyka moralna, którą posługuje się autor.

Zborowski i Batoroego, to dwa typy, z których pierwszy reprezentuje w dramacie Brończyka mentalność polską anarchiczną, odśrodkową, drugi konstruktywną. Zborowski, posiadający w sobie dużą poezję, zdolności artystyczne, rozmach fantazji itd. — jest indywidualnością niezdolną do tworzenia silnej organizacji państwowej; prawdziwe swoje królestwo tworzy nie z twardej rzeczywistości, lecz w wyobraźni. Hej! jadę na wielkie łowy — mówi — Może złowię gospodarstwo, upoluję sobie dołę mieczową, karmazynową, gronostajem podbijaną...

Odśrodkowej, anarchicznej naturze Samuela, idącej w kierunku swobodnej radości, nie mogącej się pomieścić w ramach życia zbiorowego, tworzącej własne prawa i własną moralność — przeciwstawia się w dramacie Brończyka król Stefan, opętany świadomością swojej misji, mającej za cel zmianę psychiki narodowej, reprezentowanej przez Zborowskiego.

Król Stefan najjaśniej zdaje sobie sprawę z konieczności życiowych narodu:

„Królestw się nie łowi po stepach, chyba rumakiem pegazowym...

Królestwa funduje się w ludziach I między ludźmi rumianymi krwią,“

mówi do Samuela w jednej ze scen dramatu, dodając:

„A te ludzie...

.....sprężone być muszą prawem twardem, Nielitosnem.

Nielitosnem i dla nich, i dla króla...

W imię tej świadomości podejmuje Batoroego walkę. W tem też mieści się jego dramat, jako człowieka przeciwstawiającego się temu, co nad nim ciąży jako siła fatalna. Ale jednocześnie jest Batoroego uocobieniem dramatu społeczeństwa, walczącego z własnym przeznaczeniem dziejowem.

Batoroego jest fanatykiem swojej idei, i w tem leży jego wielkość. Wydawszy walkę przeznaczeniu, staje się przez to samo postacią tragiczną. Dramat jego jednak nie byłby dramatem człowieka, gdyby nie odzywający się w nim raz po raz głos sumienia.

Batoroego, nie zachwiany ani na moment w wierze w swoje posłannictwo, byłby posagiem z jednej bryły, który budzi podziw, — i tylko podziw; Batoroego, staczający walkę z samym sobą, wydany na pastwę własnego sumienia, budzi współczucie — i przez to staje się bardziej zrozumiałym. Dramat królewski staje się też dlatego dramatem człowieka.

W. P.

granica, a wśród wielu państw i Polska.

Z niemiejszą energią, ze względów handlowych, przystąpiono do odbudowy największego portu japońskiego Jokohamy (620.306 mieszkańców). Zważyć bowiem trzeba, że do tego portu zawija rocznie przeciętnie 2.600 okrętów z całego świata, a prawie wszyscy przybywający do „Kraju Wschodzącego Słońca“ lądują najpierw w Jokohamie. W handlu z zagranicą jest to miasto zdyktansowane tylko przez jeden port Kobe. Odbudować zatem należało w pierwszym rzędzie port, a dopiero później doszczętnie zniszczone miasto. Rząd wyasygnował wprawdzie na ten cel tylko 200 milionów jenów, lecz niezwykle ofiarnie pospieszyły z pomocą prywatne przedsiębiorstwa handlowe, przemysłowe, towarzystwa okrętowe, krajowe i zagraniczne. W odbudowie zachowano w ogółach poprzedni plan, dzielący Jokohamę na trzy części: Jamasita-cio, gdzie mieszczą się konsulaty, biura zagranicznych firm, główne hotele i kluby, następnie dawną dzielnicę cudzoziemską oraz pozostałą część miasta, japońską, słynną ze sklepów z najrozmaitszymi towarami na eksport.

Tokio i Jokohama zostały już odbudowane i dantejskie przeżycia dwóch nocy wrześniowych w 1923 roku, powoli zacierają się w pamięci dotkniętych katastrofą mieszkańców. Najlepszy jednak wykaz odbudowy nie zdola przedstawić rzeczywistego wysiłku całego społeczeństwa japońskiego przy tej gigantycznej pracy. Wysiłek ten tembardziej zasługuje na uwagę, gdy się zważy, że w czasie powstawania nowych gmachów, domów i parków podziemny żywioł nieraz wstrząsami dawał znać o sobie pracującym. To ich jednak nie zrażało i nie opóźniało toku pracy.

Japończycy zdają sobie sprawę, że żyją nu wulkanie, lecz przyjmują to z uśmiechem. A zresztą, gdyby chcieli usuwać się z każdego miesiąca dotkniętego katastrofą, wszystkie wyspy japońskie w liczbie około 600 byłyby dawno bezludne. Tymczasem roczny przyrost ludności stale się zwiększa i przed kilku laty przekroczył milion. Osiedla i pola ryżowe, wymagające dużej ilości wody zakłada się już na zboczach gór. Nie przesadzę pisząc, że Japonja zaczyna się dusić na swych wyspach i wysepkach. I to na wulkanicznych, którem! — według sejsmologa prof. Omori — żywioł podziemny wstrząsa przeciętnie 1.400 razy w ciągu roku. Nazwalibyśmy to tragedią narodu. Cóż bowiem może być tragiczniejsze, od naglej utraty najbliższej rodziny i mienia? A jednak istnieje dla Japończyka rzecz straszniejsza. Mówi o niej ostatnie słowo starego przysłowia japońskiego: „Iciban osorosi: kaminari, kadzi, ojadzi“ — „są trzy rzeczy najstraszniejsze: piorun — trzęsienie ziemi — gniew ojca“.

M. B.

## Tokio i Jokohama w dziesięć lat po trzęsieniu ziemi

W Tokjo i Jokohamie, jak donosi prasa japońska, obchodzono w ub. miesiącu uroczyste dziesiątą rocznicę wielkiego trzęsienia ziemi. W Tokjo kulminacyjnym punktem uroczystości była olbrzymia manifestacja przed świątynią, wystawioną w miejscu, gdzie zginęło czterdzieści tysięcy przerażonych ludzi, którzy schronili się tutaj z myślą, że na wolnej przestrzeni uratują swe życie od zagłady żywiołu. W Jokohamie urządzono akademię w muzeum pamiątek trzęsienia ziemi, wybudowaną specjalnie w tym celu, niedaleko parku Nogejama.

Odbudowa stolicy Japonji i Jokohamy była rzeczywiście owocem wielkiego, mrówczego wysiłku Japończyków, który nadszarpnął poważnie budżet państwa i wyciągnął prywatny kapitał z banków. W Tokjo runęło 30 tys. domów, a 200 tys. zostało poważnie uszkodzonych. Wiele muzeów, bibliotek i uczelni padło pastwą pożaru. Jokohama została prawie doszczętnie zniszczona. Czego tam nie zniszczyły wstrząsy ziemi i nie strawiły płomienie, to zostało zmiecione olbrzymimi falami morza, które wdzierały się co pewien czas w głąb lądu. W katastrofie zginęło przeszło 100 tysięcy ludzi. Było to największe

trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło Japonję od roku 1498, kiedy to rozszalały żywioł pochłoniął w prowincji Tokajdo 200.000 ofiar.

Do odbudowy obu miast przystąpiono z niesłychaną energią. Przedewszystkiem na drugi plan usunęto tarcia polityczne. Gabinet premiera Kato ustąpił w kilka dni po trzęsieniu ziemi, a w jego miejsce admirał Gombiej Jamamoto powołał do pracy tak zwany rząd odbudowy, w którym największą rolę odegrał minister spraw wewnętrznych Simpej Goto.

Odbudowa stolicy trwała siedem lat, stosownie do planu przewidującego i przyszłą rozbudowę miasta według najnowszych zasad urbanistyki. Rząd wyasygnował na kosztą 697 milionów jenów (jen około 2.50 zł.) a na trzykroć chyba większą sumę musiał zdobyć się kapitał prywatny. Zasadniczą rzeczą było wybudowanie dwóch krzyżujących się bulwarów, o szerokości 33 do 44 metrów, które przecinają miasto z północy na południe i ze wschodu na zachód. Równoległe do nich biegną 52 ulice szerokie na 22 metry, łącznej długości 117 km. Te zaś są przecięte 122 ulicami o szerokości 11 do 12 metrów. Łączna ich długość wynosi 139 km. Na tej olbrzymiej szachownicy zbudowano

jeszcze wielką ilość małych uliczek (6 do 11 metrów szerokości), które rozciągnięte w jednej linii pokryłyby 600 km. Nie wymieniam tu wielu bulwarów, które mogłyby być ozdobą N. Jorku, lub Londynu, zaznaczę tylko, że bulwar koło stacji kolejowej, szerokości 73 metrów, ciągnie się dwa kilometry. Plan przekształcający miasto, liczące 4.970.839 mieszkańców, w szachownicę, musiał wziąć pod uwagę rzekę Sumida i liczne kanały. Zbudowano więc 500 nowych mostów. Długość wybudowanych linii tramwajowych wynosi 350 km. Tę przestrzeń olbrzymią (136.650 akrów ang.) zabudowano prawie całkowicie nowoczesnymi, na wzór amerykański gmachami. Koło głównej stacji uwagę zwraca kompleks gmachów t. zw. Marunouci o 1.200 oknach. W wielu miejscach sterczą kilkupiętrowe, żelazobetonowe „pułta“, w większości jednak zachowano dawną architekturę. Nie zapomniano przytem o „płucach miasta“. Oprócz uporządkowanych, starych, rozległych parków, jak Siba-kojen, Ujeno-kojen, założono 52 nowe, mniejsze i trzy większe. Wielkie sumy pochłonięto kompletowanie zniszczonych bibliotek oraz Cesarskiego Muzeum, w którym zgromadzono 170 tysięcy okazów malarstwa, rzeźby, tkactwa, porcelany, laki, itd. Z pomocą ochotnie pospieszyła za-



# Wśród drzew migdałowych i wiatraków

Jeśli prawdą jest, że „narody szczęśliwe nie mają historii“, to zdanie to można nie bez racji zastosować do wysp Balearskich, przynajmniej od chwili, gdy w roku 1409 weszły one w skład korony hiszpańskiej. Wszystkie wojny, wszystkie wstrząsy wewnętrzne, jakie w ciągu wieków przechodziła Hiszpanja, słabem tylko echem odbijały się na tych błogostawionych, szczerze przez naturę uposażonych, wyspach.

Nawet ostatnia rewolucja przeszła nad niemi, nie pozostawiając żadnych śladów. Dzień proklamowania republiki uczyły władze stolicy biciem dzwonów. Rojalisci pozamykali szczelnie drzwi i okna, na znak żałoby. — A kiedy dzwony bić przestały, wszyscy wrócili do swych zwykłych, codziennych zajęć.

Łagodny klimat i prześliczne położenie sprawiają, że na Baleary ciągną przez cały rok, a szczególnie w miesiącach zimowych, liczne rzesze kosmopolitycznych turystów. Fala ta kieruje się w pierwszej linii na największą z całej grupy wysp, Mallorca, z jej stolicą Palma. Dokąd okiem sięgnąć, widać łagodnie wzgórza, pokryte palmami, kaktusami, drzewami migdałowymi i oliwnymi, oraz winnicami, z których uzyskuje się słynne wino, gęste, słodkie i bardzo mocne. Oryginalnym urozmaiceniem pejzażu są rozsiane licznie stare, kamiennic wiatraki, przypominające turyscie nieśmiertelnego Don Kiszota.

Palma, miasto liczące około sto tysięcy mieszkańców, jest rezydencją gubernatora cywilnego, komendy wojskowej i biskupa. Miasto to posiada cały szereg wspaniałych budowli i zabytków, od słynnej katedry począwszy. Imponująca ta świątynia, której budowę rozpoczął Don Jaime w roku 1230, utrzymana jest w czystym stylu gotyckim, jedynie portal, zbudowany z końcem XVI wieku nosi wybitne piętno renesansu.

Wogóle architektura Palmy jest odzwierciedleniem wiekowych dziejów całej wyspy, przez którą przewalały się kolejno hordy Fenicjan, Greków, Kartagińczyków, Wandalów, Gotów i Maurów, aż w roku 1207 król Aragonji, Don Jaime I, objął ją w posiadanie.

Toteż na każdym niemal kroku spotyka się zabytki budownictwa rozmaitych epok od maurytańskiego począwszy, poprzez gotyk, renesans i barok aż do neoklasycyzmu.

Głównym bogactwem wysp Balearskich są migdały, których eksport dochodzi wartości 40—50 milionów pesetas rocznie. Niemniej poważną rubrykę stanowi eksport południowych owoców, przede wszystkim fig.

Kwitnie również na wielką skalę hodowla drzew oliwnych, prowadzona wedle wiekowych tradycji arabskich. Ale mieszkańcy Mallorki nie umieją wyrabiać dobrej oliwy jadalnej. Pod tym względem nie wiele zmieniło się od czasu, gdy Chopin razem z George Sand szukali odpoczynku i wytchnienia w Valldomosa...

Zmieniło się natomiast wiele, o ile idzie o komfort i warunki mieszkaniowe. Dziś czekają na turystów eleganckie hotele, prześliczne plaże, rojące się w sezonie od zagranicznych gości. — Ludność ocenia korzyści płynące z ruchu turystycznego, toteż robi się wszystko, by gościom pobyt uprzyjemnić. A sposobność do tego nie brakuje: w ciągu letnich miesięcy urządza się rozmaite festyny i uroczystości, w czasie których tubylcy popisują się oryginalnymi tańcami narodowymi „jota“, „bolero“, „metexa“, „copeco“.

Oryginalne, barwne stroje narodowe dodają popisom tym niemałe uroku.

Jedną z atrakcyj są również wycieczki nocne do słynnych „groty smoczycy“ (Las Cuevas del Drach), robiących poważną konkurencję „Grocie błękitnej“ na Capri. Wycieczki te mają już swój uświęcony rytuał: wypływa się nocą, w łodziach odpowiednio iluminowanych, przy dźwiękach muzyki wagnerowskiej... Romantyczne to, daje jednak zawsze niezawodny, a łatwy efekt.

A komu znudzi się gwar i ruch wielkiego miasta, jakim jest Palma, ten może urządzać dalsze wycieczki po wyspie, zwiedzać czyto zaciszną, u-

roczą położoną Valldomosa, tonącą w srebrzystej zieleni oliwek, czy małą wioską rybacką Puerto Pollensa, czy wreszcie małą wyspęk sąsiednią Ibiza, której budowle zachowały dotychczas charakter czysto arabski.

W pełni sezonu letniego zaś cały ruch turystyczny kieruje się do wspaniale urządzonej plaży w Formentor, położonej w północnej części wyspy, gdzie co roku zjeżdżają się różne znakomitości ze świata plutokracji, arystokracji i... filmu.

Mieszkańcy wysp Balearskich nie przedstawiają typu czystej rasy katalońskiej: jest w nich domieszka krwi

Maurów, Żydów i Włochów. Mężczyźni rośli, dobrze zbudowani, o śniadej cerze; kobiety smukłe, zgrabne, ładne, o wielkich czarnych oczach i aksamiennym spojrzeniu.

Charakterystyczną cechą tej ludności, żyjącej beztrudno, pracowitej i bardzo religijnej, jest upodobanie do tańca i śpiewu. Śpiewa stare ballady hiszpańskie rolnik uprawiając ziemię, śpiewają chłopaki i dziewczęta, zatrudnione zbiorom migdałów lub oliwek, śpiewają liczne pielgrzymki dążące do klasztorów i kaplic, położonych na szczytach gór.

A kiedy całe miasto ułoży się do snu, pod balkonem ukochanej śpiewa ognisty młodzieniec przy dźwięku gitary...

(kr.)

## U kresu cyklu Galsworthy'ego

Przed paru tygodniami wyszła powieść Galsworthy'ego *Over the River* (Za rzeką), stanowiąca ostatnie ogniwo długiego cyklu, złożonego z trzech trylogii, a rzuczonego na tło życia Anglii od lat osiemdziesiątych zeszłego wieku do chwili obecnej, a raczej do chwili zgonu autora z początkiem bieżącego roku.

Pierwsza część, „Posesjonat“ wyszła w r. 1906. Galsworthy przerzucił się później do innych tematów i historię rodu Forsyte'ów ciągnął dalej dopiero w ogłoszonej po wojnie powieści „W kanclerskim sądzie“ (In Chancery — tytuł oznacza również rozpaczliwe położenie, w jakie może dostać się zapaśnik w walce bokserkiej). Część trzecia nosi tytuł „Do wy najęcia“ — oznacza on symbolicznie kres przewagi w życiu angielskiem rodu Forsyte'ów, przedstawicieli wyższej klasy średniej i fanatyków prawa własności.

Następna trylogia przedstawia już dzieje następnego pokolenia, wskutek reakcji po ciężkich przeżyciach i cierpieniach moralnych wojny światowej oddającego się użyciu, pozbawionego ostoi moralnej i nieumiejącego sobie dać rady z jeżdżącymi się trudnościami społecznymi. Pierwsze właścicielki reprezentuje głównie córka Soamesa Forsyte'a Fleur, ostatnią żonę jej Michał Mont, działacz socjalny i

członek Izby Gmin. Sędziwy Soames występuje tu w roli chóru, komentującego wypadki, i ducha opiekuńczego rodziny, który zresztą niewiele może wpłynąć na jej losy. Z niesympatycznego, w pewnych momentach, wstręt poprostu budzącego w czytającym bogacza, który na wszystko rozciąga prawo własności, zmienił się on tu w mądrego i szlachetnego przedstawiciela przedwojennego świata. Ewolucję przeszła postać, ale przeszedł ją przedewszystkiem autor, który krakał nad dawniejszą Anglią, ale zaczął jej żałować na widok Anglii powojennej.

Po „Białej małpie“ pierwszej części „Nowoczesnej komedii“ (taki jest ogólny tytuł drugiej trylogii, poprzednią nazwał Galsworthy „Saga o Forsyte'ach“), nastąpiła „Srebrna łyżka“, do której tła należy już strajk generalny w r. 1926. „Pieśń łabędzia“ kończy się śmiercią Soamesa.

Trzecia trylogia, nie posiadająca, o ile mi wiadomo, wspólnego tytułu, wprowadza w akcji nowe osoby, mianowicie rodzinę Cherrellów, której tylko jednego członka znaliśmy poprzednio. Występują tu jednak i dawniejsze postaci, dziedziczka krwi Forsyte'ów Fleur i rodzina Montów. Sprawy społeczne schodzą na drugi plan, obraz życia obejmuje głównie klasy wyższe. Tytuł pierwszej powieści „Czekająca dziewczyna“ odnosi się do Dinny Cher-

rell, która tu gra rolę jedynie anioła opiekuńczego swych bliskich. W drugiej części „Kwitnąca pustynia“ staje się ona sama bohaterką tragicznej historii miłosnej — partnerem jest poeta Wilfrid Desert, znany nam z „Białej małpy“. Pomiędzy nim a Dinny staje zmiana wiary — Desert przeszedł na wschodzie na mahometanizm, ratując się przed śmiercią z rak fatnatycznego szejka. Ale jest to tylko pozornie problem religijny — Desert w nic nie wierzy. Idzie o cetero: Społeczeństwo angielskie nigdy nie przebaczy Desertowi, że pohańbił je wobec ludzi wschodu. Powinien był — bez względu na swój stosunek do religii — dać się zabić, ale nie odstąpił od ideału dżentelmena. Powieść kończy się wyjazdem skłóconego z otoczeniem poety, którego Dinny naprzemiennie usiłuje zatrzymać przy sobie, z którym zresztą gotowa jest pójść na kraj świata. Desert nie chce, aby ukochana kobieta dzieliła z nim pogardę rodaków.

„Kwitnąca pustynia“ wyszła na parę miesięcy przed śmiercią autora. Po została jednak w rękopisie część trzeciej trylogii — może bez paru końcowych rozdziałów, w każdym razie doprowadzona tak daleko, że stanowi pełną całość.

Zakończenie „Kwitnącej pustyni“, które Polakowi tak żywo przypomina ostatni rozdział „Ludzi bezdomnych“, pozostawiało przecież pewne możliwości dla kochanków. Może zjeżdża się znowu? Może Desert przejdzie ewolucję i wróci? Może Dinny podąży za nim do Siamu i on już nie zdobędzie się na jej odrzucenie?

Galsworthy pozostał nieubłagany i przeciął wszelkie pokusy, których musiał doznawać jako autor, zakochany w Dinny niemniej od Wilfrida Deserta, jego śmiercią. Dinny znajdzie nie już wprawdzie płomienne uczucie poety, ale spokój i atmosferę rodzinną przy boku innego, cierpliwego i stałego wielbiciela. Ten wątek nie wystarczał jednak do wypełnienia powieści. W Galsworthym odezwał się tedy — po raz tysięczny — prawnik. Akcję stanowi sprawa rozwodowa (miałem ich aż dwie w powieści) „W kanclerskim sądzie“. Zachodzą naturalnie rozmaitsze zawiąkania, które doprowadzają ją do niesprawiedliwego wyroku, opar tego na pozorach. Dinny gra w tym wypadku znowu rolę anioła opiekuńczego.

Niewątpliwie w całej twórczości Galsworthy'ego wysuwa się na pierwszy plan „Saga o Forsyte'ach“. Już w „Nowoczesnej komedii“ poziom artystyczny obniżył się był nieco, chociaż pozostał jeszcze wysoki. Trzecia trylogia przedstawia się jeszcze słabiej pod względem tła obyczajowego, akcji, charakterystyki i podkładu ideowego. Czuję się pewną sztuczność konfliktów, a czytelnikowi brak — Soamesa Forsyte'a. Atoli subtelny styl Galsworthy'ego, jego zdolność oddawania przy pomocy szczegółów zewnętrznych stanów psychicznych i kreślenia scen efektownych a wzruszających pozostały niezmiennione. Zresztą warto poznać „Za rzeką“ choćby dla dowiedzenia się, jaki los spotkał Dinny Cherrell, ten wedle widocznej intencji autora ideał kobiecości, rozsiewający naokoło skarby dobroci i poświęcenia, a wynagradzany — cierpieniem. Galsworthy'emu zrobiło się żal Dinny i stąd ta powieść. Może czuł zbliżającą się śmierć i nie chciał swej twórczości zakończyć jeszcze jednym zgrzytem.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

## Epos naszej emigracji

O mawialiśmy przed paru tygodniami na tem miejscu pierwszy tom powieści Jana Wiktora „Wierzy nad Sekwaną“, obrazującej tragiczną rolę polskich emigrantów we francuskich kopalniach, fabrykach i fermach.

Obecnie pojawił się nakładem Tow. Wydawniczego „Rój“ w Warszawie drugi i ostatni tom tego dzieła, któremu godzi się poświęcić więcej uwagi.

O ile w tomie pierwszym główny nacisk położono na nagromadzenie jak największej obrazków i materiałów z życia naszego robotnika-emigranta na tle niesłychanego wyzysku, niesprawiedliwości i krzywd ze strony zorganizowanego, kulturalnie o całe niebo wyżej stojącego społeczeństwa francuskiego, — to tom drugi zasługuje w całej pełni na miano patetycznej opowieści o losach pary właściwych bohaterów tej, naprawdę wzruszającej i pięknej powieści.

Odnosi się wrażenie, jakoby autor, który naocześnie przez dłuższy czas obserwowal całe piekło życiowe chłopca-emigranta zarówno w Paryżu jak i na prowincji, — pragnął w tomie pierwszym wylać na karty swej książki całe morze bólu, współczucia i goryczy, jakie nagromadziło się na ten widok w duszy twórcy „Tęczy nad sercem“. A szczególów i faktów tych było tak dużo, iż poprostu rozsadzają łamy książki, tworząc z niej rodzaj reportażu, czy kalejdoskopu, o barwach mocnych, jaskrawych, krzyzących. I kto wie, czy nie lepiej byłoby stworzyć z tego pierwszego tomu cyklu nowelek, z których każda, zamknięta w sobie, krótka zwarta, przemawiałaby silniej i sugestywniej do wyobraźni i sumienia czytelnika.

To przeladowanie bowiem szczegółów odbić się musiało ujemnie na kompozycji ogólnej I. tomu, na jego artystycznej konstrukcji.

W tomie drugim odnajdujemy prawdziwego Wiktora w całej pełni rozkwitu jego wielkiego talentu epickiego. Ten wielki przyjaciel upośledzonych i wydziedziczonych umie wnikać w głąb prostej duszy chłopskiej, rozumie i odczuwa wszystkie jej odruchy, przeżywa, załamania i wzloty. Nie wychodzi jednak prawie nigdy z roli obiektywnego epika, umiając przytem połączyć realizm artystyczny ze wzniosłym liryzmem. Druga część powieści, pisana właściwym autorowi oryginalnym, mocnym stylem, posiada potężną dynamikę, a pod względem zwartości konstrukcji stoi bez porównania wyżej od części pierwszej.

Poszczególne epizody, jak wilja włóczęgów paryskich, przełom psychiczny bohatera powieści, Jędrka Połańca, w więzieniu, zasługują na miano prawdziwych cacek artystycznych.

Jedyny zarzut, jakoby można zrobić, to pewna skłonność do rozlewnego mięscami patosu, połączona z pewną zbyt wyraźną tendencją moralizatorską. Są to jednak drobiazgi, wynikające może po części z samego ujęcia tematu, — a nie obniżające w niczem nieprzeciętnej wartości tego dzieła, które Wiktor może uważać — i słusznie — za najlepsze w jego bogatym dotychczasowym dorobku artystycznym.

„Wierzy nad Sekwaną“, to jedna z najlepszych i najciekawszych powieści ostatniej doby, zarówno pod względem artystycznej konstrukcji, jak i dla jej wartości społecznej.

K. Rychłowski



# Jak umierali władcy europejscy

Zwykle mówi się u nas, że naród polski i jego historia szczytą się tam, że nigdy w dziejach Polski żaden władca nie zginął z ręki narodu czy jakiegoś jego przedstawiciela. I rzeczywiście: przynajmniej większość książąt czy królów polskich zakończyła życie śmiercią naturalną, pozatem dwu władców legło na polu walki (Henryk Pobożny, Warneńczyk); z rąk spiskowców padł tylko Laszek Biały, zamordowany w Marcinkowie pod Gąsawą, przez Świętopelka pomorskiego za zgodą lub namową Władysława Odonicza Pławacza; Przemysław zaś w Rogoźnie padł pod ciosami ręki nie polskiej, ale obcej (margrabiowie brandenburscy), choć ślepym mieczem w tej ręce byli Polacy — Nalęczowie i Zarębowie. Nawet w czasie nieustających walk dzielnicowych (druga połowa w. XII i cały omalże XIII-ty) — poza wymienionym już Laszkiem Biłym — rzadko padaly trupy; zginął wprawdzie książę Ziemowit mazowiecki syn słynnego Konrada, ale z ręki liwowskiej, nie polskiej. Tajemniczość zaś osłania tylko zgon Kazimierza Sprawiedliwego, a — według niektórych — i Batorego.

Wprost przeciwnie przedstawiają się pod tym względem stosunki u naszego największego słowiańskiego sąsiada, w Rosji. Tam monarchowie wprost masowo schodzili ze świata w sposób zgoła nienaturalny. I rzecz znamiona — nie wtedy, gdy w całej Europie szalały niepokonowane namietności: w średniowieczu, — przeciwnie, za panowania Rurykowiczów w walkach dzielnicowych stosunkowo mało ginęło władców (niektórzy ponieśli śmierć męczeńską za wiarę od Tata-  
rów); natomiast w wiekach XVIII, XIX, i XX. — właśnie od czasu, gdy Rosja „zeuropeizowała się“ — widzimy szereg zgonów nienaturalnych: o Piotrze Wielkim mówiło się po cichu, że go otruto, choć oficjalnie przeziębienie miało być powodem jego śmierci; najbliżsi jego następcy panują po parę lat zaledwie, Iwana Antonowicza zadusono w twierdzy szlisselburskiej, Piotr III, ginie, zrzucony z tronu przez żonę Katarzynę; syn zaś Katarzyny Paweł pada ofiarą spisku oficerów. Niezwykle tajemnicze okoliczności towarzyszą śmierci Aleksandra I. (obecnie coraz to silniej umacnia się przekonanie, że monarcha ten nie umarł w roku 1825, ale potajemnie opuścił tron by prowadzić żywot pustelnicy na Syberji i po kutując za moralny współudział w zamordowaniu ojca). Mikołaj I. miał zażył truciznę, rozpaczony po stracie Sewastopola w wojnie Krymskiej; Aleksander II, zginął od bomby zamachowca; olbrzym Aleksander III, podobno nadmier-  
nem używaniem alkoholu skrócił swe życie, Mikołaja zaś II. z całą rodziną zamordowali bolszewicy.

Jeżeli chodzi o zgony władców, — ma-  
jąca opinję kraju niepokonywaną, roz-  
szalałych, prawie dzikich namietności —  
Hiszpanja nie usprawiedliwiała tej prze-  
sądnie złej opinji. Nie licząc epoki kró-  
łów gockich, kiedy nie można jeszcze  
mówić o psychice narodu hiszpańskiego,  
występują tam bowiem jeszcze elementy  
kulturalne i psychiczne starogermanskie;  
nie biorąc też pod uwagę stosunków w  
kordubańskim kalifacie arabskim (nie  
przynależy bowiem jego historia do na-  
szej europejskiej cywilizacji) — już w  
głębi średniowiecza nie znajdziemy ja-  
kichś okrutnych czy częstych morder-  
stw. Na uwagę — i to przedewszystkiem, ja-  
ko wyjątek — zasługują zamordowanie  
króla Piotra Okrutnego przez przyrod-  
nego brata, Henryka Trastamarę w na-  
miocie sławnego wodza francuskiego Ber-  
trana de Guisqualina. Natomiast w cza-  
sach nowożytnych od Ferdynanda i Iza-  
belle aż do Alfonsa XIII. żaden z monar-  
chów hiszpańskich nie zakończył życia  
śmiercią gwałtowną. Habsburgowie hisz-  
pańscy — poza Filipem V., którego po-  
dobno stoczyło robactwo, po długim ży-  
wocie i długich rządach. — Byli to de-  
generaci, żyjący — mimo to — niezwy-  
kle długo (panowali nieraz po lat 40!).  
Również i Burboni kończyli żywot śmier-  
cią naturalną; rewolucje zaś — coraz  
to częstsze — wypędzały ich, ale nigdy  
nie mordowały.

Zaś Włochy w zupełności usprawie-  
dliwiają opinję kraju trucizny i sztyletu.  
I jednym i drugim masowo postugiwa-  
no się na dworach książęcych czy ar-  
stokratycznych Borgiów, Medyceuszów,  
Vicentich, Sforzów, d'Este, Colonnów, Cen-  
cich etc., po zjednoczeniu zaś Italji dru-  
gi trzeci dotychczasowych królów z dy-  
nastji sabaudzkiej — Humbert zginął z  
ręki anarchisty (1900).

Dla porządku chronologicznego powin-  
niśmy byli wrócić aż do władców ma-  
cedońskich i cesarzy rzymskich, ale że  
powszechnie się wie, że Aleksander Wielki  
umarł nieuleczalnie chory w wieku  
jeszcze młodym (38 lat), następcy zaś je-  
go przeważnie mordowali jeden drugiego  
na polach bitwy, lub przy pomocy ręki  
skrytobójczej; dalej — ponieważ znane  
też są naogół dzieła Cesarów, którzy w  
przynajmniej większej wypadków gwał-  
townej śmiercią gwałtowną (wyjątki, jak

sam August, Tybarjusz, Wespazjan i szyb-  
ko zmarły Tytus, Nerwa, Trajan, Hadr-  
jan, Antoninus Pius, Marek Aureljusz,  
Dioklecjan, Konstantyn Wielki i Teodo-  
zjusz Wielki na palcach prawie można  
policzyć, gdy zamordowanych są dziesiąt-  
ki) — zwróćmy tylko pobieżnie uwagę  
na fakt, że w Bizancjum pielegnowano  
nadal tradycję Rzymu cesarów, że w  
czasie wędrowek narodów mordowano się  
masowo i z wielkim zamiłowaniem i z  
wielką znajomością rzeczy; rzućmy też  
okiem jeszcze na Szwecję gdzie wielki  
Gustaw Adolf i Karol XII. w kwiecie  
wieku zginęli na polu walki. Gustawa  
zaś III-go zabił zamachowiec; przypom-  
nijmy sobie, że w Grecji zginął król Ot-  
ton, a w Serbji Aleksander Obrenowicz,  
zabity przez oficerów pod wodzą Jerzego  
Karadzrdzowicza — i przejdźmy do  
dzieł trzech największych w Europie  
państw: Francji, Anglii i Niemiec.

Historja pierwszej francuskiej dyna-  
stji Merowingów dzieli się na dwa okra-  
sy: w pierwszym mocni, zdrowi, tędy  
władcy frankońscy i niżmniejsi zdrowi  
i tegie, a przytem piękne władczynie —  
wymordowywali się bezlitośnie przez trzy  
pokolenia (historja tych morderów zasługu-  
je na osobną szerszą wzmiankę); gdy zaś  
w drugim okresie morły ustaly, byli już  
Merowingowie degeneratami i starzali  
się i umierali między 30-tym a 40-tym  
rokiem życia. Także i następcy Karola  
Wielkiego i jego syna Ludwika Poboż-  
nego, Karlowingowie szybko się zdegene-  
rowali, natomiast pierwsi przedstawicie-  
le następczej dynastji Kapetyngów, mię-  
dy którymi znajdują się Filip August  
i Ludwik Święty, z wyjątkiem ojca Lud-  
wika św. Ludwika VIII. Lwa (1223-1227)

panowali bardzo długo — po 30, 40 i  
więcej lat! Ostatni Kapetyngowie z pro-  
stej linii, synowie Filipa Pięknego —  
znówu byli krótko żyjącymi degenerata-  
mi; z następnej zaś dynastji — Walez-  
jów (Walois), drugi z rzędu król, Jan Dobry  
umarł w niewoli angielskiej, Karol VI.  
w oblakaniu, Karol VII., zwycięzca An-  
glików (z czasów Joanny d'Arc) w oba-  
wie otrucia przez własnego syna zagło-  
dził się; ostatnich zaś Walezjuszy obcia-  
żyła dziedzicznie nabyta przez Francisz-  
ka I. nieuleczalna choroba, która oml-  
nawszy Henryka II. (zginął na turnieju,  
zabity przypadkiem przez hr. Montgo-  
mery) — zabrała wcześniej do grobu mło-  
docianego Franciszka II. i przyspieszyła  
wraz z wyrzutami sumienia po nocy św.  
Bartłomieja zgon Karola IX. Ostatni z  
Walezjuszy, Henryk III. (b. król polski)  
zginął z ręki dominikanina Jakóba Cle-  
ment, założyciel zaś dynastji Burbonów,  
Henryk IV. padł ugodzony sztyletem Ra-  
vaillca. Ludwik XIII. umarł naturalną  
śmiercią po życiu, pełnem nietyle truo-  
dów, co nudów; Ludwik zaś XIV. —  
Król Słońca przeżył swe dzieci i wnuki,  
tak, że po nim wstąpił na tron prawnuk  
— Ludwik XV., którego wtrąciła do gro-  
bu ospa, ale też po bardzo długim ży-  
ciu. Ludwik XVI. skończył mężnie ży-  
cie na szafocie, Karol X. i Ludwik Filip na  
wygnaniu, również jak i Napoleon III.

Królowie angielscy z pierwszej dyna-  
stji, królów Wessex'u (od Egberta — 827)  
— wszyscy z wyjątkiem zamordowanego  
przez machochę i brata — Edwarda Me-  
czennika (koniec X. wieku) umierali  
śmiercią naturalną. Pod Hastings zginął  
w walce z Normandami król Harold II  
(1066); zwycięzca i zdobywca Anglii —

Wilhelm normandzki zszedł wcześniej do  
grobu na skutek zgrzyot, jakich źród-  
łem byli jego synowie; następcę zaś je-  
go i syna, Wilhelma Rudego znanego  
w czasie polowania przesytego tajemnic-  
czą strzałą. Z innych królów angielskich  
gwałtowna śmierć dosięgła trzech Ry-  
szardów: Lwie Serce zginął w czasie  
oblężenia zamku jednego z wasali, o  
którego chciał odebrać cenne dzieło szt-  
ki; Ryszarda II-go usunęła z tronu, a po-  
tem pozbawiła życia bożna linja dy-  
nastji Plantagenetów — ród Lankastrow;  
Trzeci zaś, przywłaszczony po śmierci  
pięknego i dzielnego brata Edwarda IV.  
(umarł od skutków rozpusty) jego tron  
i kazawczy zamordować prawego króla,  
małego Edwarda V., zginął na polu bit-  
wy pod Rosworth (1485), walcząc z Tu-  
dorami, którzy przez wiek z górą wszyscy  
umierali śmiercią naturalną. W między-  
czasie (między Ryszardami) gwałtowną  
śmierć poniósł (w roku 1327) Edward V.  
strącony z tronu przez żonę i jej  
kochanka. Karola I. Stuarta na śmierć  
wydała rewolucja purytańska, od tego  
zaś czasu (1849) aż do naszych dni wszyscy  
monarchowie angielscy umierali śmier-  
cią naturalną (Jakób II. na wygnaniu).

W dziejach narodu niemieckiego je-  
dynie Fryderyk Barbarossa w nurtach  
rzeki Sulef, Filip Szwabski udarciem  
puhary zamordowany, (o Fryderyku II.  
krąży legenda, że go syn Manfred zabił  
— w późnym zresztą wieku), Adolf z  
Nassau, Albrecht I. Habsburg, Albrecht  
II. po dwuletnich rządach i Józef I., of-  
fiara zarazy — nienaturalną umarli  
śmiercią. Reszta żyła długo i panowała  
długo, nieraz bardzo długo (np. Fryde-  
ryk III. Habsburg — w XV. wieku); na-  
tomist najpotężniejszy z Hohenztaurów  
najbliższy ideałowi uniwersalnej monar-  
chji chrześcijańskiej, cesarz Henryk VI.,  
syn i ojciec wielkich Fryderyków, lat sie-  
dem tylko panował (1190-1197). (t. n.)

# „Ciężka woda“

Do roku 1919 przypuszczano, że każ-  
dy pierwiastek chemiczny składa się z  
atomów zupełnie jednakowych t. zn.  
mających identyczną budowę i ten sam  
ciężar atomowy, wyznaczony metoda-  
mi chemicznymi. Wspomniane ciężary  
atomowe wyrażają się liczbami całko-  
witými z ułamkami. Tak więc ciężar  
atomowy chloru wynosi 35.46, ciężar a-  
tomowy rtęci 200.6; zakładano, że wszy-  
stkie atomy chloru i wszystkie atomy  
rtęci mają wymieniony ciężar atomowy,  
jeśli przyjąć ciężar atomu tlenu równy  
16. Przypuszczenie, że np. atomy chlo-  
ru mogą mieć różne ciężary nie znaj-  
dywało naogół zwolenników. Nie przy-  
puszczano, żeby pierwiastki mogły być  
mieszanimi kilku ciał, żeby mogły  
istnieć różne „chlory“ i rozmaite „rtęci“.

W r. 1918 uczony angielski F. W.  
Aston dokonał bardzo doniosłego odk-  
rycia, wyróżnionego nagrodą Nobla,  
dowodząc, że jeśli przyjąć ciężar ato-  
mowy tlenu za 16, to ciężary atomowe  
wszystkich innych pierwiastków będą  
liczbami całkowitymi. Skąd się zatem  
biorą ułamki przy cyfrach, wyrażają-  
cych ciężary atomowe? Na pytanie to  
jest tylko jedna odpowiedź: w wielu  
pierwiastkach atomy są niejednakowe,  
należy odróżnić jakgdyby różnego ro-  
dzaju atomy jednego i tego samego pier-  
wiastka. Jeśli zebrać jednakowe atomy

w oddzielne gromadki, wówczas otrzy-  
mamy różne odmiany tego samego pier-  
wiastka, które nazywamy jego izotopa-  
mi; (nazwę tę wprowadził Soddy w r.  
1923). Ciężary atomowe tych właśnie  
izotopów są liczbami całkowitymi. Zbiór  
izotopów danego pierwiastka stanowi t.  
zw. plejadę.

Przejdźmy do wyjaśnienia tych fak-  
tów na konkretnych przykładach n. p.  
na chlorze i rtęci.

Chlor ma dwa izotopy, istnieją dwa  
różne „cholory“, których ciężary atomo-  
we wyrażają się liczbami całkowitymi  
35 i 37. Chlor, który znamy w chemii,  
jest mieszaniną dwu izotopów, w której,  
jak wskazuje liczba 35.46, znaczną prze-  
wagę ma odmiana chloru o ciężarze ato-  
mowym równym 35.

Rtęć posiada ciężar atomowy 200.6.  
Aston wykazał w latach 1926 i 1927, że  
rtęć ma 7 izotopów, t. zn., że istnieje 7  
różnych „rtęci“! Ciężary atomowe tych  
izotopów wyrażają się następującymi  
cyframi: 196, 198, 199, 200, 201, 202 i  
204.

Wobec wykrycia izotopów, dawne  
ciężary atomowe okazują się liczbami  
przeciętnymi, które się otrzymuje przy  
zastosowaniu arytmetycznej reguły mie-  
szanin z ciężarów atomowych izotopów  
danego pierwiastka, proporcjonalnie do  
ilości izotopów zawartych w danej mie-  
szaninie.

# Biografia psa

Flush nie był zwyczajnym psakiem.  
Za jego ojca nie chciał właściciel przy-  
jąć 20 gwinej, jego samego córka i dzie-  
dziczka właściciela nie chciała również  
sprzedać za pieniądze, lecz darowała go  
w r. 1842 „największej poetce angiel-  
skiej“, pannie Elżbiecie Barrett, której  
figle Flusha osładzały wlokące się po-  
woli dni, spędzane w łóżku lub na fo-  
telu, gdyż Miss Barrett nieszczęśliwy  
wypadek z konia uczynił kaleką na ca-  
łe życie. Mimo tego wyszła ona za jed-  
nego z największych poetów współczes-  
nej Anglii, Roberta Browninga, a mał-  
żeństwo to odbyło się w romantycz-  
nych okolicznościach, gdyż Elżbieta  
miała ojca dziwaka i tyrańskiego, więc nar-  
zeczony musiał ją wykraść. Nie omie-  
szkali zabrać i ulubionego pleska Miss  
Barrett.

Nie byli zwyczajnymi ludźmi właścici-  
ciele Flusha i nie był zwyczajnym psem  
Flush. To też doczekał się biografii, któ-  
ra wyszła z pod pióra również niezu-  
pełnie zwyczajnej kobiety, Virginii  
Woolfe, która postanowiła przekazać  
potomnym dzieje życia Flusha, jest  
jedną z najwybitniejszych autorek  
Anglii i książka jej nie ma charakteru  
literackiego oszustwa. Tytuł nie krwje  
dziełowi Roberta i Elżbiety Brownin-  
gów, jakkolwiek zupełnego ich wyłąc-  
czenia nie można było zaryzykować.  
Bohaterem książki jest naprawdę Flush,  
a Miss Woolfe bynajmniej go nie idea-  
lizuje. Lubił bowiem czasem zwdzić  
coś z kredensu, a dwa razy miał wielką  
ochotę ukąsić jednego z dwóch najwięk-  
szych poetów epoki wiktoriańskiej.

Własności chemiczne izotopów dane-  
go pierwiastka są zupełnie jednakowe  
i żadnymi środkami chemicznymi nie  
można mieszaniny ich rozdzielić na czę-  
ści składowe. Izotopy różnią się między  
sobą liczbą protonów oraz liczbą elektro-  
nów w jądrze, to też mają różne te wła-  
sności fizyczne, które zależą od masy  
atomu. Zauważyć tu należy, że najwię-  
cej izotopów, bo 11, zawiera cyna.

Przez długi czas kilka pierwiastków  
uchodziło za zupełnie jednorodne, a na-  
leżały do nich tlen, azot, węgiel i wodór.  
Zapomocą nowszych, subtelnějších  
metod badawczych, udało się jednakowoż  
wykazać, że i te pierwiastki są zło-  
żone z izotopów. Obok zwykłego tlenu  
o ciężarze atomowym 16 istnieje jego  
izotop o ciężarze atomowym 18, wę-  
giel ma dwa izotopy o ciężarach 14 i 12,  
azot dwa o ciężarach 15 i 14. W roku  
1931 badacze amerykańscy stwierdzili  
zapomocą analizy widm pasmowych  
wodoru, że obok atomów wodoru nor-  
malnych istnieją także atomy wodoru  
dwa razy cięższe, które nazwano „cięż-  
kimi atomami wodoru“, ciężar ich bo-  
wiem wynosi 2.0136 (zwykły wodór ma  
ciężar 1.0078). Jeden z odkrywców cięż-  
kiego izotopu wodoru wyraził przypu-  
szczenie, że woda zwykła H<sub>2</sub>O winna  
się wzbogacić w ciężki atom wodoro-  
wy przez elektrolizę. Słuszność tego po-  
glądu znalazła potwierdzenie w zbada-  
niu wód po elektrolizach długotrwałych.  
W r. 1932 w amerykańskim United States  
Bureau of Standards podjęto próbe  
długotrwałej elektrolizy wody, w wy-  
niku której otrzymano obecnie „ciężką  
wodę“, złożoną z około 33% z ciężkie-  
go wodoru. Ciężar właściwy tej wody  
wynosi 1.035 (czysta „woda ciężka“  
winna mieć ciężar ok. 1.1111), tempera-  
tura krzepnięcia i wrzenia leżą też nie-  
co wyżej niż u zwykłej wody.

W rezultacie tych wszystkich badań  
okazuje się, że niewiele już pozostało  
pierwiastków, które zachowały się do-  
tąd jako zupełnie proste, niezłożone z  
izotopów. Do tych ostatnich należy prze-  
dewszystkiem gaz szlachetny o ciężarze  
atomowym 4 hel, którego izotopu na-  
próżno dotychczas poszukiwano.



# Winston Churchill pro domo

Przed paru miesiącami omawiałem w dodatku niedzielnym „Kurjera Lwowskiego“ pewne ogłoszane naprzód w gazetach ustępy z monografii Winstona Churchilla o najświetniejszym z jego przodków i obok Wellingtona, największym wodzu angielskim, Johnie Churchill, księciu Marlborough. Obecnie wyszedł tom I dzieła (Marlborough; jego życie i czasy, Londyn Harrap, 1933), doprowadzony do śmierci Williama III. t. j. do 53-go roku życia bohatera. Drugiego tomu, który obejmie zwycięstwa jego w hiszpańskiej wojnie sukcesyjnej, można oczekiwać w ciągu najbliższego roku.

Monografia Winstona Churchilla jest śmiałą próbą rehabilitacji księcia Marlborough pod względem charakteru, dotychczasowe bowiem poglądy przedstawiają go jako człowieka chciwego, bezwzględnie egoistę i wielokrotnego zdrajcę w stosunku do królów, którym służył. Rozpowszechnił je przede wszystkim Macaulay.

Długa jest lista czynów, zarzucających Marlborough'owi. Podstawą jego majątku było 5000 funtów, otrzymanych od księżnej Cleveland, której łaski dzielił z Karolem II. i, zdaje się, z wielu innymi. Co gorsza, przyjmował znaczne sumy pieniężne od różnych dworów europejskich, nawet od Ludwika XIV., największego wroga Anglii w tym czasie. Zdradził swego dobroczyńcę Jakóba II. na rzecz Wiliama III, później jednak utrzymywał potajemne stosunki z Jakóbem, przebywającym we Francji i usiłującym odzyskać tron przy jej pomocy. Przebaczenie Jakóba okupił zdrada szeregu tajemnic państwowych. Najgorzej przedstawia się sprawa wyprawy angielskiej przeciw Brestowi w r. 1694. Mimo, że przygotowano ją w największej tajemnicy, flota, która zaatakowała wybrzeża zatoki Camaret, natknęła się na szaniec świeżo usypany przez Vaubana, na potężną artylerię i liczne wojska. Próby lądowania były daremne, Anglików odparto z bardzo ciężkimi stratami, między innymi umarli z rany, odniesionej w tej walce, jeden z najdzielniejszych ówczesnych generałów Talmash.

Macaulay przypisuje zdradę księciu Marlborough, który należał do nie wielu ludzi, wiedzących o planie wyprawy. Lecz nie tylko rozumowanie oskarża późniejszego zwycięzcę z pod Ramilies. Istnieje jego list do Jakóba, uprzedzający go o tem, że w Anglii wybrano Brest za przedmiot ataku...

Te i inne fakta rzucają na księcia Marlborough fatalne światło. Był on geniuszem wojskowym i dyplomatycznym, był świetnym dworakiem i kochającym mężem słynnej „straszliwej Sary“, która przez lat kilka trzęsła dworem królowej Anny. Lecz co do jego charakteru zapadł wyrok, który trudno zmienić.

Podjął się jednak tego zadania jego potomek, sam wybitny polityk i znawca spraw wojskowych — ku chwale rodu Churchillów i chwale Anglii, której przecież nie może być obojętnym, czy jeden z wielkich twórców jej potęgi figuruje w historii jako dwulicowy, zdradą splamiony intrygant, czy jako mąż niezłomny i niczem nie skalany. Obecny książę Marlborough oddał Winstonowi Churchillowi do dyspozycji wszelkie dokumenta i listy z Blenheim House, pałacu, zbudowanego po pierwszym wielkim zwycięstwie hiszpańskiej wojny sukcesyjnej i tak na jej pamiątkę nazwanemu. Trochę studiów bibliotecznych, podróż po pobożowskich tej wojny — i oto mamy tom pierwszy monografii.

Ustawicznie wraca w niej ton polemiczny. Czytelnik czuje się, jakby na sali sądowej, gdzie prokurator i adwo-

kaci walczą o los oskarżonego, a podnieciwszy się, nie szczczędają sobie wzajemnie przymówek i sarkazmu. Winston Churchill słynął z temperamentu w Izbie Gmin. Teraz, trzeba przyznać, dzielnie walczy o reputację Johna Churchilla. Macaulay'a, jak już miałem sposobność stwierdzić obszerniej, piętnuje jako kłamcę i potwarcę. Złatwia się kolejno z oskarżeniami przeciw postrachowi Francuzów, bądź to próbując obalić fakta, bądź oświetlając je inaczej, niż czyniono dotychczas.

List o wyprawie na Brest Winston uważa prosto za podrobiony — rzeczywiście autentyczność tego dokumentu kwestionowano już przed nim.

Zresztą list, choćby nawet Marlborough był rzeczywiście jego autorem, nie miał rozstrzygnąć losów walki w zatoce Camaret, gdyż wedle Winstona tajemnicę zdradził już wcześniej Jakóbowi, a temsamem Francuzom premier Godolphin. Co więcej, sądzi się stać zbyt surowo stosunki polityków i arystokratów angielskich tego okresu ze Stuartami. Nie miały one tego zdradzieckiego charakteru, jaki im się przypisuje.

Przypomina się historia o pożyczonym dzbanku, który ktoś oddał sąsiadowi zbity. Bronił się on jak następuje: Po pierwsze nigdy dzbanka nie pożyczał; po drugie oddał go cały; po

trzecie dzbanek już, gdy go pożyczał, był pęknięty.

Ze Macaulay — prawdopodobnie tylko w artystycznych celach — zbyt okrutnie traktował księcia Marlborough, rzecz możliwa. Dowiedziono mu w ostatnich czasach nieścisłości w całym szeregu innych wypadków. Lecz wątpić należy, aby opinia księcia dała się naprawić. Naturalnie czekać należy na recenzje historyków, którzy skontrolują dokumenta i metodę Winstona Churchilla. Lecz już dzisiaj można powiedzieć, że monografia jego jest książką, pisaną pod pewnym punktem widzenia i że to odbiło się na niej. Marlborough pozostanie zapewne w historii tem, czem był dotychczas.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

## Epilepsja-padaczka i jej przyczyny

Choroba ta zaliczana do chorób nerwowych jest rozmaicie nazywana: więc nazywali ją chorobą świętą, — przypisując w powstawaniu jej znaczenie siłom nadprzyrodzonym, chorea major w odróżnieniu od chorea minor — czyli płasawicy, tańcem św. Walentego i t. p.

Charakterystycznym, decydującym objawem napadu padaczki jest krótko trwała utrata przytomności. W przypadkach lekkich może wystąpić jedynie tylko utrata przytomności bez innych objawów, chory wśród zajęcia nagle traci przytomność, jeśli siedzi, — nagle staje, jeśli coś mówi, — przerywa rozpoczęte zdanie, po skończonej przerwie mówi dalej, nic nie wiedząc o zajściu — ta utrata pamięci jest charakterystyczna dla padaczki.

Krótkotrwała utrata przytomności może występować rzadko lub też często, lub następować w krótkich odstępach czasu, dając wtedy cięższą postać choroby. W przypadkach ciężkich obok charakterystycznej utraty przytomności występują też skurcze epileptyczne — bezcelowe ale skoordynowane, szybkie ruchy kończyn i tułowia, drgawki tężcowe — poszczególne mięśnie kurczą się, prężą się równocześnie bez ruchów kończyn. Skurcze te i drgawki powstają wskutek, zdrażnienia ośrodków motorycznych kory mózgu. Mogą one być zlokalizowane, — obejmować tylko część ciała, np.

jedną połowę, lub też mogą objąć wszystkie mięśnie — rzucają wtedy człowiekiem, tłuką o ziemię, kaleczą; często występuje też skurcz mięśni twarzy, czego następstwem bywa pokałeczenie warg i języka.

W cięższych wypadkach występuje skurcz przepony i opadnięcie języka, — stąd utrudnienie oddychania i występowanie piany na ustach.

Charakterystycznym zjawiskiem przy epilepsji jest t. zw. aura, — czyli przecucie ataku — jest to uczucie wegetatywne, które sprawia, że epileptyk wie na kilka chwil przedtem, iż atak się zbliża. Uczucie to stanowi zespół pewnych dochodzących do świadomości chorego objawów ze strony narządów unerwionych przez układ nerwowy wegetatywny t. j. układ, którego czynności są niezależne od naszej woli. Objawy te świadczą, że przyczyna choroby ma jakiś związek z tym układem i wywołuje w nim przed wystąpieniem napadu, pewne zaburzenia, które dochodzą do świadomości chorego. Jest to zjawisko dla epileptyka pożyteczne, gdyż może on wyszukać sobie właściwsze miejsce dla spotkania ataku, w przeciwnym razie atak, występując nagle, mógłby zaskoczyć chorego w miejscu najmniej odpowiednim np. na schodach, na środku ulicy i t. p.

Przyczyny powstawania epilepsji dotąd nie są całkowicie wyjaśnione.

Stwierdzono jednak szereg faktów mających znaczenie przyczynowe w pewnych wypadkach epilepsji: I. czasem mechaniczne uszkodzenie centralnego układu nerwowego np. uszkodzenie czaszki po przejechaniu — wywołuje napady epilepsji, które udaje się usunąć przez wykonywanie odpowiedniej operacji, do tej grupy należy padaczka o drgawkach ograniczonych tylko do pewnej części ciała. II. gdy niema mechanicznego uszkodzenia centralnego układu nerwowego, — to często przyczyna padaczki jest natury chemicznej, gdyż stwierdzono że: 1) zachodzi pewien związek między pojawianiem się i zanikaniem objawów padaczkowych a czynnością hormonalną ustroju. Hormony — ciała chemiczne produkowane przez specjalne gruczoły organizmu, — wywierają wielki wpływ na budowę kośćca, rozwój narządów płciowych młodego organizmu, na czynności układu wegetatywnego ustroju dorosłego człowieka i inne sprawy życiowe. Stwierdzono, że w okresie dojrzewania, w którym hormony odgrywają decydującą rolę, zespół objawów epilepsji pojawia się albo nagle znika, 2) istnieją zatrucia organizmu zarówno ciałami dostającymi się do organizmu z zewnątrz jak i ciałami powstającymi w pewnych stanach wewnątrz organizmu, — które wywołują objawy takie jak epilepsja. Tak np. podczas ciąży zdarzają się stany chorobowe, zwane eklampsją, o objawach podobnych do drgawek padaczkowych, a przyczyną ich jest samozatrucie organizmu ciężarnej, przez ciała powstałe wskutek zaburzenia normalnego przebiegu ciąży.

III. Mniejsza wartościowość centralnego układu nerwowego wrodzona lub nabyta, usposabia do występowania objawów padaczkowych. 1) Stwierdzono w pewnych rodzinach alkoholików dziedziczenie epilepsji, wskutek szkodliwego działania alkoholu na komórki rozrodcze powstaje ich uszkodzenie i następnie upośledzenie wartości ośrodkowego systemu nerwowego dziecka. 2) Są wypadki, że dzieci chore na padaczkę mają nieprawidłowości w budowie centralnego układu nerwowego, np. mają stosunkowo małą głowę. 3) Jednym z objawów paraliżu postępowego, który jest zawsze skutkiem zakażenia kiłą i występuje w 5—15 lat po zakażeniu, mogą być t. zw. napady paralityczne, które objawiają się przejściową utratą przytomności lub jako drgawki epileptyczne — mamy tu zatem nabyte uszkodzenie i upośledzenie centralnego systemu nerwowego.

Epilepsja występuje najczęściej u ludzi młodych, w odróżnieniu od paraliżu postępowego, który jest chorobą wieku dojrzałego.

N. O.

## Eksotermiczne i endotermiczne procesy życiowe

Procesy chemiczne, przy których przebiegu wywiązuje się ciepło, a zatem energia, nazywamy eksotermicznymi, — procesy chemiczne zaś, którym się musi ciepło, a zatem energię doprowadzić, nazywamy endotermicznymi. Palenie się drzewa, oliwy, gazu świetlnego, przy czem wydobywa się ciepło, jest procesem eksotermicznym. Zmiany chemiczne jakie powstają w naszym ciele wskutek oddychania tlenem powietrza są również procesem eksotermicznym.

Reakcje endotermiczne nie odbywają się dobrowolnie, lecz tylko tak długo, jak długo doprowadza się im ciepło, zatem energię, tak samo, jak sprężyna w zegarku sama się nie naciąga. Endotermicznym procesem jest rozkład chlorowodoru przy 1500 st. C. na wodor H i na chlor Cl — poniżej tej temperatury tworzy się znowu chlorowódor HCl. Na procesie endotermicznym polega wzrost roślin. Z kwasu węglowego w powietrzu, z wody i związków azotowych buduje roślina swój materiał, wykorzystując energię promieni słonecznych i w ten sposób ją niejako magazynując.

Jeżeli roślin tych używamy jako

opału dla naszego ciała, wtedy odbywa się między temiż roślinami, powstałymi drogą reakcji endotermicznej, bogatymi w energię, a tlenem powietrza reakcja eksotermiczna, której ciepło jest dla nas niezbędne. Produktem tych reakcji są związki ubogie w energię, złożone z kwasu węglowego, wody i połączeń azotu, które wydalone z organizmu z powrotem wracają do przyrody, zamykając w ten sposób cykl krążenia materji i energii poprzez świat roślinny i zwierzęcy.

Z tego wynika czysto chemiczna różnica między czynnościami życia rośliny a zwierzęca: u roślin odbywają się przeważnie reakcje endotermiczne, które prowadzą od najprostszycch aż do skomplikowanych związków, tj. od kwasu węglowego, wody, amoniaku do tłuszczów, olejów, cukrów, białka itd., — u zwierząt odbywają się głównie eksotermiczne reakcje, przez co z rośliny wytworzone, a z pożywieniem roślinnym przyjęte, andotermicznie powstałe skomplikowane związki, przemieniają się za pomocą wdychanego tlenu z powietrza znowu eksotermicznie w swoje produkty wyjściowe.

DR. WOJCIECH BAU



# Zbaraskie „palazzo in fortezza” w ruinie

Ożywiony ruch budowlany, jaki w ciągu XVII. w. na terenie wschodnich województw kresowych dźwignął szereg zamków obronnych, rozrzucanych na szlakach wrogich najazdów rozlicznych nieprzyjaciół, uwzględnił w budowie zamków obronnych dwa typy. Do pierwszego z nich należały zamki, w których obronność była głównym celem struktury budowlanej, a mieszkanie właściciela odgrywało tylko drugorzędne znaczenie, podczas gdy drugi typ wiązał oba te cele w jedno i stwarzał budowle, które były zarówno silnie warowniami, ale zarazem stanowiły wielkopańskie rezydencje, pełne reprezentacyjnych komnat i sal, przyczem zamki te były wspaniałymi dziełami nie tylko fortifikacyjnej, ale i architektonicznej sztuki. Z jednej strony wybudowane według najlepszych wzorów ówczesnej inżynierji fortecznej, były pozbawione wspaniale i świetnie urządzone pałacami, pełnymi przepięknych nierzadko dekoracyjnych motywów, możliwych w tamtych czasach, do władcy bowiem dokładali wszelkich starań, aby ogromnym nieraz sumptem pieniężnym stworzyć dumny monument dostojństwa swego rodu i swej społecznej pozycji.

Z biegiem lat wspaniale te zamki zaczęły się chylić ku upadkowi. I niszczyły owe wielkopańskie rezydencje nie tylko burze wojenne, które przewalały się z roku na rok po tych kresowych rubieżach, ale padały one w gruzy skutkiem niedbałości i zaniedbania najtańszych choćby i najsłabszych środków konserwacyjnych. Nie niszczyły tych zamków-pałaców w takiej mierze zapędy watah kozackich czy zagonów tatarskich, ile obracał je w ruinę deszcz, który przez dziurawy dach niósł czasem zamkowi zagładę. Jedni właściciele, jak np. Zółkiewski, który w swym testamencie polecał „opatrywać zamek, żeby się nie psował”, czując troską otaczali swoje rezydencje, inni nie okazali tej troski, to też budowle te obronne rozpadały się z biegiem lat w gruzy, a tylko mała, wprost znikoma część utrzymała się po nasze czasy, przekazując splendor swej epoki następnym pokoleniom.

Do tych zamków-pałaców, które zab czasu trawi z rokiem każdym coraz bardziej, należy „palazzo in fortezza” w Zbarażu, ongiś świetna rezydencja ks. Zbaraskich i Wiśniowieckich. Jego powstanie związane jest z nazwiskiem dwóch braci, Jerzego i Krzysztofa ks. Zbaraskich, synów wojewody brac-

ławskiego Janusza, ludzi burzliwych i chciwych godności, i pełnych ogromnej dumy. Młodszy z nich Krzysztof, koniuszy wielki koronny, odbył w roku 1622 podróż do Konstantynopola w charakterze wielkiego posła dla potwierdzenia traktatu chocimskiego. — Podjął się chętnie tej wyprawy dyplomatycznej, miał bowiem sposobność zadziwienia świata wspaniałością swego wystąpienia. Rzeczywiście zadziwił nawet Turków, przyzwyczajonych do przepychu podobnych wystąpień. Ale niezależnie od tego, umiał Krzysztof Zbaraski godnie reprezentować Rzeczpospolitą, usunąć mnóstwo przeszkód i uzyskać zgodę turecką na traktat oraz uwolnić z niewoli jeńców polskich. Okazał w tym wiele dzielności, charakteru i niepospolitej zręczności. Po powrocie do Polski otrzymał na sejmie publiczne podziękowanie za wielkie swe trudy i koszty, z wyprawą ową związane. Zmarł bezpotomnie w r. 1627, wkrótce potem rozstał się z tym światem brat jego starszy Jerzy, kasztelan krakowski, jako ostatni z rodu, poczem cały ogromny majątek Zbaraskich: Zbaraż, Niemirów, Berszada, Ladyżyn, Pohrebyszcze, Wołodarka i Daszów przeszły na rodzinę Wiśniowieckich.

O budowie wspaniałej rezydencji w Zbarażu marzył ks. Krzysztof Zbaraski, zasięgał rady weneckiego architekta, Wincentego Scamozzi'ego, ale gdy projekt jego nie uwzględniał nalezycie obronności na tatarskim szlaku, projekt brata doprowadził do skutku ks. Jerzy, który w r. 1626 wezwał do Zbaraża biegłego architekta holenderskiego, Henryka van Peene i ten zaprojektował plan i wybudował na płaskim grzbiecie wyniosłych wzgórz, które ku miastu urywają się stromą ścianą, obronna warownią, a w niej wspaniały pałac-rezydencję magnackiego rodu. Siła obronności zamku tkwiła w jego fortyfikacjach, w wysokim wale, silnie oszkarpowanym, w narożnych beluardach i w kurtynach, otoczonych głębokim rowem. W tym obronnym zarysie przetrwał zamek zbaraski niejedną burzę, jaka w wieku jego powstania uderzała od wschodniej ściany Rzeczypospolitej.

Dzisiaj zamek zbaraski chyli się ku ostatecznej ruinie. Zamek ten, z którego murami związaną jest słynna obrona w pamiętnych chwilach burzy kozackiej, uwieczniona w wspaniałych szkicach Kubali i w prześlicznym ujściu Sienkiewicza, z rokiem każdym niszczy się coraz bardziej i jeżeli niszc-

zenie tak chyłym podążać będzie krokiem, przypadająca za lat kilkanaście 300-ta rocznica epopeji wojennej Zbaraża chyba zastanie zupełnie pustką na wzgórzu, którego warownia jak rafa skalna sterczała wśród wrogich zalewów ze wschodu. Oplakany stan ruin zamkowych smutnie obecnie budzi wrażenia i przykre nasuwa refleksje. Przed wybuchem wojny dzięki opiece poprzedniego właściciela pałac zamkowy pokryty został dachem, przyciemniono okna i drzwi gmachu. Wojna zadała zamkowi cios drużogący. W zamku kwaterowały wojska rosyjskie, które rozebrały na opał dach wraz z więzaniem i sufitemi belkami, a na odchodnym rozsądziły prochami część kamrat zamkowych. — Czasy „ukraińskiej” inwazji też ruinom w niejednym dały się we znaki. Podjęte przez wroga wojska niszczenie zamku prowadzi obecnie w dalszym ciągu czas, który z każdym rokiem czyni w murach zamkowych coraz większe szczyby, każdy bowiem deszcz pogłębia rysy w murach. — Którychś partje groza zawaleniem.

Wchodzimy do ruin zamkowych przez bramę wjazdową, znajdującą się w pośrodku kurtyny od strony miasta północno-zachodniej. Brama, założona w postaci jednopiętrowego budynku z parterową kondygnacją kamienną i piętrową ceglana z barokowymi przyczółkami. Pomieszczona na bramie tabliczka zawiera oryginalnej treści ostrzeżenie: „Ruiny zamkowe grożą zawaleniem! Nie zbliżać się!”

Zbliżamy się do ruin zamkowych, które „grożą zawaleniem” i wchodzimy na obszerny dziedziniec, zwany w podobnych zabudowaniach wojennych „places d'armes”. Jak okiem sięgnąć przed siebie: najzupełniejsza ruina. Wspaniałe ongiś piętrowe pałac, zbudowany w kształcie litery T, pozbawiony nakrycia dachowego znacznie i zmarnieje w niedługim czasie do gruntu. Świeci jeszcze poniekąd dawnym blaskiem renesansowa fasada pałacu, boniowana na szych brzegach kamieniami ciosowymi.

Tylna część pałacu, leżąca w linii terasy wałów, jeszcze bardziej zniszczona. Brak nakrycia sprawia, iż deszcze toczą niby robak mury. Całe partje zapadły się w dół, gdzie piętrzą się ogromne rumowiska kamieni, zielonym porastające. W tylnej ścianie pałacu deszcze wytworzyły tak potężną rysę, iż niedługo chyba piętrowa ściana zapadnie się pomiędzy to zamkowe morze rumowisk.

Znajdujące się pod pałacem rozległe piwnice zawałone kamieniami. Utrzymał się jeszcze korytarzowy chodnik, tworzący połączenie z bocznym bastjonem, ale i on niszczy się coraz bardziej. Podobnie i kamraty zapadają w coraz większą ruinę. Zewnętrzne ściany murów ulegają również powolnemu rozpadowi, trzymają się jeszcze, ale tu i ówdzie widoczne są już rysy, które tworzą złowrogą zapowiedź zbliżającej się ruiny.

Niszczone coraz bardziej ruiny zbaraskiego zamku budzą przykre refleksje. Gdzieindziej na zachodzie podobnie wspaniałe zabytki, może nawet niezwiązane równie silnie z tak wspaniałą epopeją wojenną, jak zbaraska, otoczone są opieką jeżeli nie właścicieli, to państwa, które chroni owe zabytki z przeszłości przed zagładą, przygotowując im wytrwale przez zab czasu. Znany historyk, Dr. Aleksander Czołowski opisując zamek zbaraski w pamiątkowej księdze: „Przesłość i zabytki województwa tarnopolskiego” dzisiejszemu stanowi zamku poświęca następującą uwagę: „Dzisiejszy oplakany stan zamku nader smutne sprawia wrażenie. Rok każdy coraz większe czyni w murach szczyby, wałą się stopniowo całe ich partje. Od zupełnego ich zniszczenia mogłoby uratować tylko zrealizowanie projektu, aby budynek zamkowy wyzyskać umiejętnie na cele szkolne lub wojskowe. Patriotyzm narodowy nie może dopuścić, aby zabytek, związany z jednym z najpiękniejszych czynów oręża polskiego, znikł z widowni”. — Lecz oby głos jego, jak niemniej piszącego te słowa, nie pozostał jedynie głosem, wołającego na puszczy.

Wśród ogólnej obojętności i braku zrozumienia wartości duchowej tej wspaniałej ongiś warowni, leżacy u granicznych kopców zamek zbaraski z dniem każdym w coraz większą zapada ruinę, a kiedy za lat kilkanaście nadejdzie 300-ta rocznica epopeji wojennej bohaterstwa Zbaraża, tryumfalne bramy stawiane chyba będą już na zupełnym pustkowiu tego tak wspaniałego ongiś „palazzo in fortezza”.

(a).

## Daj grosz na L. O. P. P.

## Teatr wiecznych premier

W pierwszych latach istnienia radiofonji rozgraniczenie pomiędzy poszczególnymi rodzajami audycji literackich było bardzo płynne. Nadawane wówczas nowele, rozbite na głosy (jak „Olsoni-Kisani”) lub fragmenty powieściowe z t. zw. dekoracjami akustycznymi (jak opis pogrzebu Wołodyjowskiego), nie były, ściśle mówiąc — ani „kwadransami”, ani „słuchowiskami”, w dzisiejszym znaczeniu tego słowa.

Pracowano tu, jak wszędzie wówczas na świecie — poomacku, szukając dróg i sposobów wywołania w słuchaczu przy pomocy mikrofonu maksimum wrzuseń estetycznych. Powoli jednak różnice zaczęły się zarysowywać — podczas, gdy np. w „kwadransach” lektury szło o możliwe spotęgowanie wrzuseń, jakich doznaje czytelnik podczas czytania książki, w słuchowiskach szło o wywołanie wrzuseń podobnych do tych, jakich doznaje widz w teatrze. Tak narazie ustaliła się zasadnicza różnica pomiędzy temi dwoma rodzajami audycji literackich.

Mając możliwość dotarcia do jednego tylko zmysłu — słuchu artystycznego odbioru, musiano się skupić w jednym kierunku i dostosować do tego metody pracy. Była to mozolna praca, wymagająca nieustających wysiłków od wewnątrz, bacznej kontroli od zewnątrz oraz licznych ofiar z przekonania estetycznych, ustalonych zdawną na gruncie lektury, teatru, lub nawet kina.

Jedną z pierwszych ofiar był wiersz. Początkowo wydawało się, że właśnie wiersz, jako utwór w pewnym stopniu

muzyczny, będzie ideałem formy literackiej w radio. Wkrótce okazało się, że to przekonanie jest fałszywe, że audytorjum słucha wierszy niechętnie. Nie odrzucało się ustalić przyczyny tego zjawiska. Dopiero dłuższe doświadczenie pouczyło o tem, że cała muzykalność wiersza nie może okupić jego niezrozumiałości.

Wkrótce spostrzeżono, że pomieszanie narracji z akcją, jak to początkowo robiono, nie daje pożądanego rezultatu, że opieranie słuchowiska na t. zw. efektach akustycznych chybja celu, gdyż same tylko efekty, jak naśladowanie cwału pędzącego konia, biegu pociągu, wystrzałów armatnich, czy ryku burzy morskiej, jest zbyt uboga i zbyt mało interesująca podnieta dla wyobraźni słuchacza, który z biegiem czasu coraz bardziej staje się wymagający i oswaja z „cudami” radiowymi.

Słuchacz, przeszedłszy okres pierwszych zachwyłów dla „tego cudownego wynalazku”, zaczął żądać ości konkretnej strawy duchowej. Najważniejsza stała się dlań kwestja treści i sposobu jej podania w audycji. Słuchacz żąda od radja utworów, które byłyby dzięki swej treści czy też dzięki sposobowi jej podania, łatwo zrozumiałe, interesujące, oraz działające na wyobraźnię i na uczucie.

Słuchacz żąda szlachetnej rozrywki — rozrywki umysłowej i uczuciowej. Interesuje go gra jasno wyrażonych myśli, interesuje go własne wnioski i oddźwięki własnej uczuciowości, poruszony przez rozbudzoną własną wyobraźnię.

Po podsumowaniu licznych doświadczeń wylonił się jasno wniosek, że każdy scenarjusz brany do realizacji w mikrofonie musi być odpowiednio do jego wymagań opracowany i dostosowany do takich ram czasu, jakie może bez nadmiernego wysiłku wytrzymać napięta uwaga słuchacza.

Musi więc zawierać jasną, wyraźną i jednolitą akcję, posuwającą się wciąż naprzód, musi zawierać prosto i zrozumiale sformułowane myśli, choćby były najtrudniejsze i najgłębsze i musi być doskonale radiowo zagrany przez aktorów.

Ogólnie biorąc słuchowisko, jako najbarwniejsza i najbogatsza forma audycji literackiej, zdobyła sobie dziś olbrzymi wpływ na słuchaczy, dla których nie jednokrotnie, zwłaszcza na prowincji, jest jedyną dostępną formą zetknięcia się z literaturą dramatyczną, z emocją teatralną, ze sztuką aktorską i t. p. — Wpływ ten zaś jest tem większy, że radio jest niejako teatrem premier. Raz nadany utwór nie może być tak szybko powtórzony, gdyż pojemność „widowni” lub raczej „słuchowni” radiowej pozwala na udział całego audytorjum równocześnie na jednym przedstawieniu.

W ubiegłym sezonie programowym, obejmującym okres od 1 października 1932 roku do 1 października 1933 r. nadało „Polskie Radio” ogółem 97 wieczorów słuchowiskowych, na które złożyły się 102 utwory pisarzy polskich i obcych, zarówno żyjących, jak nieżyjących.

Warto przyjrzeć się bliżej owej liczbie 102 utworów. Co się na nie złożyło? Wyliczmy nazwiska.

Literatura polska: pisarze nieżyjący: Zygmunt Krasiński (Nieboska — 2 wieczory), W. Reymont (2 wieczory), St. Wyspiański (3 wieczory), C. Norwid, H. Sienkiewicz (3 wieczory), A. Fredro (3 wieczory), Ł. Górnicki, W. Anczyc, Bliźniński, Korzeniowski, Kl. Junosza, W. Gomulicki, C. Kozłowski, Wł. Perzyński. Pisarze żyjący: Duszyńska, Falkowski, Giżycki, Goedel, J. A. Hertz, W. Hulewicz, Łopalewski, Marynowski, Nałkowska, Pomirowski, H. Romer, M. Samozwaniec, Smólski, J. Stępowski, Sygietyński i Belski, Weiser, Br. Winawer.

Pisarze obcy: Szekspir, Molière, Yeats, B. Shaw, O. Wilde, Eta Hoffmann, Selma Lagerloef, M. Maeterlinck, A. France, Pontoppidan, Zeyer, E. A. Poe, Jerome, K. Jerome, Czechow, van Maurik, G. Ohlischlaeger, Berton, Caillavet i Flers, Achard, Awerczenko, Tucholsky, S. Guityry, Cobino, London i in.

Ogółem sześćdziesiąt trzy nazwiska. Dzięki tej pojemności repertuarowej i szerokiemu zasięgowi audytorjum, radio spełnia na tym odcinku bardzo poważną rolę kulturalną i wypełnia zaniebania teatru, przez ukazywanie bądź wciąż nowych utworów literackich, bądź też przypominanie zapomnianych, zawsze w najlepszym wykonaniu.

Pod względem wykonania ten „teatr premier” może poszczycić się taką listą nazwisk, jak żaden w Polsce. Oto stali wykonawcy słuchowisk: Stefan Jaracz, Józef Węgrzyn, Wojciech Brydziński, Mieczysław Frenkiel, Antoni Różycki, Kazimierz Justjan, Chmieliński, Lubiefska, Modzelewska, Bronisłówna, Gortyska, Dehnelówna, Zimińska i inni.



# Pisarze bułgarscy

Luigi Salvini, którego artykuł, specjalnie dla nas napisany, o najnowszej literaturze bułgarskiej podajemy poniżej jest jednym z wymienionych młodych sławistów. Żywo interesując się również literaturą polską propaguje ją z zapalem we własnej ojczyźnie. Wśród swoich prac slawistycznych wydał piękny zbiorek, przeznaczony na język włoski „Polskich pieśni ludowych”. (Red.)

## I.

Współczesna literatura bułgarska, pojęta jako sztuka, narodziła się w Bułgarii dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia, na niewiele lat przed wojną rosyjsko-turecką w roku 1877-78, która to data oznacza dla Bułgarii wolność i odrodzenie.

Poezja, powieści, nowele, teatr odzwierciedlają we wszystkich literaturach fazy ewolucji w twórczości artystycznej, zaś literatura bułgarska nie podciągając się pod to ogólne prawo, rozwinięta bogato lirykę, wciągając w zastęp poetów liczną grupę nowelistów i niejednego dobrego powieściopisarza, splaca dzisiaj swoją daninę teatrowi.

Co się tyczy prozy, to można ją podzielić jakby na dwie szkoły charakteryzujące literatów bułgarskich. — Pierwsza z nich, niezbyt liczna, nie może się oprzeć pokusie przenoszenia bohaterów do miast, w ośrodku życia światowego, a później nawet i w walce polityczne (jak to ma miejsce np. w „Nowej ziemi” powieści Iwana Wazowa). Bohaterowie drugiej szkoły składają broń i powracają do życia wiejskiego, wraz z żonami, rodzinami i charakterystycznymi strojami.

Literatura dotycząca miasta jest stosunkowo szczupła. Jest to zresztą rzecz zupełnie naturalna, jeśli się weźmie pod uwagę, że miasta bułgarskie przed zruceniem jarzma najeźdźców prawie nie istniały i że pochodzenie mieszczaństwa jest bardzo świeże. Pisarze, którzy chcieli studjować nową duszę miasta musieli przedewszystkiem zdusić w sobie samych wszystko to, co było głosem krwi własnego ich pochodzenia. Życie w mieście, mimo to wszystko, ma już swoich pisarzy, do których liczby należą: P. G. Stamatow, Dimitar Sziszmanow, Czawdar Mutafow, Pancio Michajłow i inni. Dzieła tych autorów pod względem studjów współczesnego życia są rzeczywiście godne podkreślenia i zasługują na to, aby się z nimi zapoznać.

Honorowe miejsce, wśród pisarzy wsi należy się literatowi, piszącemu pod pseudonimem Elin-Pelin oraz Jordanowi Jawkowowi, zaś między młodszymi: Karalijczewowi i Petkanowowi. Szkoła, która za bohaterów ma dzieci wsi, gromadzi bezwzględnie większość prozelitów. Jej cechą zasadniczą jest, naturalnie, przywiązanie do starych legend, w ogólności do wszystkiego tego, co stanowi folklor narodowy, przywiązanie, które łatwo wytłumaczyć i zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę to, co sztuka ludowa wniosła do literatury bułgarskiej i pochodzenie oraz tradycje wsi, tak żywe w całym narodzie. Z owego przywiązania do ziemi narodziło się wiele dzieł. Wystarczy wymienić choćby dzieła Elin-Pelina, które dają całkowity obraz życia wieśniaków w Bułgarii.

Elin-Pelin pseudonim Dymitra Iwanowa) był już znany, a nawet i sławny przed wojną; w jego nowelach, miłość do ziemi rodzinnej niemal mistyczna, w „Opowiadaniach” idyllicznych — liryczna, przejawia się poprzez realizm potężnej i surowej tragiczności, natomiast w krótkich powieściach „Ziemia” i inne, daje całkowity obraz życia wieśniaczego i strojów wiejskich. Młodszy odeń Jawkow rozpoczął karierę literacką w epoce wojny bałkańskiej, zdobywając sobie szybko pierwszorzędne stanowisko tak dzięki swym nowelom z życia wieśniaków (tu należy specjalnie podkreślić nowelę p. t. „Kosiarz”), opisujących szczególnie Dobrudżę i jej mieszkańców, jak i dzięki opowiadaniom wojennym, które w niczem nie ustępują znanym opowieściom wojennym sławnych autorów z innych krajów Europy.

## II.

Jednym z dobrych malarzy wsi w literaturze bułgarskiej jest Strazim row, powieściopisarz macedoński, autor licznych opowiadań o podłożu patriotycznym, i powieści, która ukazała się niedawno p. t. „Niewolnicy”, opisujące życie Bułgarów pod jarz-

mem serbskiem w Macedonji. J. J. Vlakow, autor „Wnuczki dziadka Stawcowa”, A. Karalijcew, którego zbiór nowel „Skarb” postawił w rzędzie pierwszorzędnych prozatorów bułgarskich, tak pod względem stylu, jak i bogactwa wyobraźni i języka, P. Michajłow, który swoimi nowelami zwłaszcza nowelą „Mój ojciec” dał jedną z najpiękniejszych kart literatury bułgarskiej współczesnej, uzupełniają szereg pierwszorzędnych pisarzy w Bułgarii.

Na specjalne wyróżnienie zasługują Mikołaj Rajnow i Dobrij Niemirow. Pierwszy godny zaznaczenia przez swój mistycyzm całkowicie wschodni i styl bogaty w porównania i barwy, przypominający bardzo styl d'Annunzia; wśród licznych dzieł, jakie wydał w czasie wojny i po wojnie, zasługuje na wyróżnienie nowele, w których, przypominając legendy pierwszego cesarstwa bułgarskiego, ma możność wykazać bogactwo stylu i potęgę fantazji.

Dobrij Niemirow zawdzięcza swą sławę szczególnie powieści „Bracia”, która wielu krytyków uważa jako jedną z najlepszych w literaturze bułgarskiej, idąca zaraz po „Pod jarzmem” Iwana Wazowa. Powieść o szerokim zacięciu, głębokiej analizie i prawdziwie psychologicznej jest bezwątpnie jednym z dzieł najpiękniejszych, jakie posiada literatura bułgarska w czasach dzisiejszych. Poza powieścią, odniósł również duży sukces w noweli; należy wymienić przede wszystkim nowelę p. t. „Ślepy”, prześliczną, ze względu na oryginalność poetycką koncepcji i tragiczną potęgę efektów.

Zaznaczenia godnym jest debiut Petkanowa, powieściami ze środowiska wiejskiego, które jednakże zbyt wyraźnie mają zaznaczoną „teżę” moralną, szkodzącą często naturalności

jego dzieł, przez wytwarzanie pewnego rodzaju sztuczności.

Wśród obserwatorów życia miejskiego może najzdolniejszym jest Georgij Stamatow, pisarz w starszym już wieku, ale o młodzieńczej żywotności i energii pisarskiej. Opowiadania jego mają niezwykłą siłę, do poziomu której dostosowuje się jego styl, niemal telegraficzny, rwany, o zdaniach krótkich i suchych jak cięcia skalpelem; najbardziej znane z jego utworów są: „Nina”, „Palatyni”, „Dzieje lekarza” i „Stary prokurator”. Pisarzem nawiąskowym oryginalnym jest Czawdar Mutafow, autor ciekawej powieści „Dyletant” i wielkiej ilości nowel, których styl przypomina futurystów, ze względu na swe tendencje awangardzisty, Mutafow jest uważany za wodza nowatorskiej szkoły bułgarskiej. Wśród autorów, których w wysokim stopniu zajmuje miasto, jako temat, wymienić należy: Ludmilę Stojanowa, który jednakże przede wszystkim jest poetą; jego zbiór opowiadań „Życie kobiet” to studjum na tle subtelnej psychologii; Poljasowa, jednego z najbardziej obiecujących młodych pisarzy, który w swoich powieściach „Krzyk” i „Zagaste słońce”, usiłował dać obraz politycznego życia powojennej Bułgarii; Rajczewa, głębokiego znawcę charakteru; Konstantyna Konstantynowa, Szozmanowa, której powieścią swoją p. t. „High-Life” wprowadził pierwszy w literaturę życia światowe, a już w swoich nowelach wykazał nieprzeciętny talent i oryginalność.

Dzięki rozpowszechnianiu się nauki i wśród kobiet i chciwości, z jaką chłoną w siebie nowoczesne zapatrywania, wybiły się na powierzchnię duże talenty kobiece, i to w znacznej liczbie. Poza Elżbieta Bagrianą i Marą Belczewa, które głównie znane są, jako największe współczesne poetki buł-

garskie, należy wymienić Dorę Gabe, również autorkę poezji, znaną propagatorkę literatury polskiej w Bułgarii, przyjaciółkę żony Kasprowicza, znakomitą znawczynią jego dzieł, z których wiele przelożyła na język bułgarski. — Wśród nowelistik przede wszystkim postawić trzeba na pierwszym miejscu Fanny Popowę Mutafową, i Annę Kamenową, uzdolnioną powieściopisarkę, której książka niedawno wyszła z druku p. t. „Grzech Charitiny” miała ogromne powodzenie.

Znamiennym faktem jest bardzo niska ilość humorystów, który trzeba przypisać głównie nieco zamkniętemu i skrytemu charakterowi ludu bułgarskiego; charakter ów wytworzył się prawdopodobnie wskutek długiego panowania najeźdźców.

Po śmierci Aleka Konstantynowa, którego „Baj Ganiu” jest jeszcze dzisiaj uważany za arcydzieło ducha bułgarskiego, wśród humorystów wymienić można jedynie Damiana Kalfowa, przenikliwego obserwatora charakterów. Jego książki jak: „Pod niebem Południa”, „Małżonkowie”, „Indyk” to małe arcydzieła ironji.

To są najważniejsze nazwiska dzisiejszej literatury bułgarskiej. Należy do nich dodać jeszcze te wszystkie, które nie łączą się ani z jedną, ani z drugą szkołą i stoją niejako osamotnione, jak Czilingirow, który swoją książką „Tak mi się zdaje” przyniósł chlubę współczesnej literaturze bułgarskiej, oraz wszystkich tych młodych, którzy co rok wydają na świat dzieła, pełne żywotności i zapowiedzi na przyszłość. Ta obfitość młodych talentów jest wielkim bogactwem literatury bułgarskiej. W hufiec dziesiątkowany przez wojnę i wiek, wniesli i wnoszą zapal wiary, całą namietność entuzjazmu: w tej pełni obietnic młodzieży jest siła jutra. I dlatego umysł literacki Europy oczekująco wiele od literatury i narodu, który w ciągu krótkiego czasu swego bytu samodzielnie dotarł do wzniosłych godnych jego duszy i jego nadziei. LUIGI SALVINI

# Ze świata książki

**Dr. Ludwik Krzewiński: Pierwsza pomoc w zatruciach gazami bojowymi** (Wydawn. Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa. Cena zł. 1.60). Niewielka ta książeczka powinna znaleźć się w każdej bibliotece, gdyż nie traci nigdy na aktualności. Autor, lekarz z zawodu, doskonale znawca przedmiotu, daje w dziele tem wyczerpującą zestawienie wszystkich rodzajów gazów bojowych, z podaniem ich składu chemicznego i właściwości. Kreśli dalej obrazy zatrucia gazami i najprostszemu wskazuje i zasady udzielania pierwszej pomocy ofiarom zatrucia. Cały szereg odpowiednich ilustracji jest doskonale uzupełnieniem interesującego tekstu.

**Dr. Ed. Clapède: Wychowanie funkcjonalne** (Wyd. Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa. Cena zł. 5.20). Jako dwudziesty drugi tom „Biblioteki przekładów dzieł pedagogicznych” pojawiła się głęboka i wartościowa praca dra Clapède,

prof. Uniwersytetu w Genewie, pod wyższym tytułem. Traktuje ona jedno z najważniejszych założeń teoretycznych tzw. „nowego wychowania”, a mianowicie: pojmowanie funkcjonalne życia psychicznego pod kątem widzenia potrzeb jednostki i ich zaspakajania. Rzecz, która zainteresuje niewątpliwie każdego pedagoga, a z którą zapoznać powinni się i rodzice.

**H. Gaertner i A. Passendorfer: Podręcznik gramatyczny** (wyd. „Książnica-Atlas”, Lwów—Warszawa. Cena zł. 3.30).

Książka, przeznaczona w założeniu swem dla uczącej się młodzieży, jest zarazem cennym, niezbędnym podręcznikiem, z którego korzystać będzie każdy człowiek inteligentny, a dbały o czystość i poprawność językową. — Jest to jedyna w swoim rodzaju en-

cyklopedia wszystkich najpotrzebniejszych wiadomości gramatycznych, podana we formie przystępnej, bez zwykłego balastu teoretycznych wywodów, a oparta na żywych wzorach, zachęcających do dzieł najwybitniejszych pisarzy ostatniej doby, oraz na prawie zwyczajowym.

Znakomitem uzupełnieniem tego, bardzo na czasie, wydawnictwa jest zamieszczony na końcu obszerny skrowidz, obejmujący zgórą trzy i pół tysiąca odsyłaczy, a umożliwiającą natychmiastowe wyszukanie wszystkich ważniejszych prawideł, form i zwrotów.

**Dr. Juliusz Szygowski: Starożytny Meksyk** (wyd. „Rój”, Warszawa. Cena zł. 4). — Jest to zdaje się pierwsza oryginalna praca polska na temat kultury starożytnego Meksyku. Wykorzystując swój paroletni pobyt w tej egzotycznej krainie, oraz opierając się na dość bogatym materiale bibliograficznym, kreśli autor historię legendarnego ludu Azteków, ich wierzenia, obyczaje, obrzędy i życie społeczne. — Roi się w tej książce od egzotycznych nazwisk, niewiele nam mówiących. — Całość jest dość słabą robotą kompilacyjną, autor ogranicza się na skrętnem notowaniu drugorzędnych nie-raz niesprawdzonych, szczegółów, spisując je dość chaotycznie i zupełnie bezkrytycznie. Język i styl pozostawia niejedno do życzenia, żeby tylko zacytować taki ustęp (strona 88): „dziewczęta nosiły stale wrok spuszczone nadół”.

**Czesław Straszewicz: Wystawa Bogów** (Towarzystwo Wydawnicze, Warszawa. Cena zł. 6). — Książka niesamowita, jak niesamowita jest postać tego zagadkowego Chińczyka, w towarzystwie którego widzimy cały świat niemal, od Dalekiego Wschodu, poprzez Krym, Włochy, Hiszpanję i Afrykę do Węgier. I jestesmy świadkami cichych, krwawych dramatów duszy ludzkiej, wplątanej w jakiś fatalny krąg wypadków i zdarzeń. — W książce swej, pisano mocno, po męsku, z dużym talentem naracyjnym i siłą sugestji, porusza autor szereg piekących zagadnień społecznych.

**Ela Oleska: „Wawelska Pani”** (wyd. Gebethner i Wolff, Kraków). Misterja sceniczne, przesiąknięte głębokim żarem religijny i wiary chrześcijańskiej; rażąca jednak zbyt egzaltacją.

# Ciekawostki ze świata

## Największa kolekcja motyli

W paryskim muzeum historii naturalnej wystawiony jest obecnie największy zapewne na świecie zbiór motyli. Należał on do Szwajcara Hansa Frühstorfera, który jeździł na „łowy” po wszystkich krajach, dopóki w Sjamie nie nabawił się ciężkiej choroby. Ale i wtedy, kiedy zdrowie zmusiło go do zaniechania tych wypraw, uzupełnił całą swoją kolekcję, wysyłając po okazy ludzi dobrze obeznanych z metodami łowienia motyli i dając im odpowiednie instrukcje. Kolekcja składa się z 70 tysięcy okazów rozdzielonych na 1.800 działów, i gatunków jest 60 tysięcy. Wdowa po Frühstorferze żąda za zbiór 900 tysięcy franków. Znawcy uważają cenę za bardzo umiarkowaną, ale muzeum nie może jej zapłacić, wobec tego skarby motyle przejdą zapewne w ręce prywatne.

## Przeniesiony kościół

W październiku dokonał w Eltham biskup z Southwark Dr. Parsons poświęcenia nowego kościoła anglikańskiego pod wezwaniem św. Barnaby, ofiarowanego przez ministerjum wojny „funduszowi budowy dwudziestupięciu kościołów”. Kościół ów wznosił się pierwotnie w dokach królewskich w Woolwich i był przeznaczony dla stojącego tam oddziału marynarki, ale stał się zbędny, gdy ten odszedł do Chatham. Dar ministerjum, przetransportowano cegła po cegle do Eltham, a koszt transportu budowy ko-

chozą do 10.000 funtów szterlingów (300 tys. zł.).

## Sfilmowany zbrodnarz polityczny

Dwie spółki filmowe, austriacka i amerykańska, zwróciły się do rządu wiedeńskiego z prośbą o „wypożyczenie” na krótki czas Dertila, który jak wiadomo dokonał zamachu na kanclerza Dollfussa. Poniósł i kanclerz i sam Dertil nie mieli nic przeciw temu, więcżnia przeprowadzono pod silną strażą z przydjum policji na Schosteningu do jednego z więzień, gdzie dokonano szeregu zdjęć.

## Samobójstwo miłośnika zwierząt

U pewnego architekta w austriackim mieście Krems służył od dziesięciu lat parobek, nazwiskiem Glanner, który nie widział świata poza kołmi, powierzonymi swej opiece i niedawno dostał od Towarzystwa ochrony zwierząt dyplom za dobre obchodzenie się z niemi. Niestety interesa architekta popyły się w tych ciężkich czasach i oznajmił on Glasnerowi, że ma zamiar sprzedać wszystkie swe konie i powozy, a zastąpić je autem ciężarowym. Biedny parobek popadł w rozpacz. Po niedzielnym nabożeństwie zamknął się w swej izbie i w kilka godzin potem znalazł go wiszącego.